

Dnia 26 marca 1946r.

ODPIS Z POSWIADCZONEGO ODPISU

31

PROTOKOŁ PRZESŁUCHANIA  
=====

Sąd Grodzki w Warszawie, Oddział VI pomocy sądowej w osobie Sędziego tegoż Sądu Bronisława Hoffmana, na żądanie Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich, Oddział Wojewódzki w Lublinie, przesłuchał niżej wymienionego bez przysięgi, po uprzedzeniu go o odpowiedzialności za nieprawdziwe zeznanie w myśl art. 107 K.P.K., który zeznał, co następuje:

Wdzięczny Kazimierz, syn Piotra, ur. 19.I.1908r. w Warszawie, zamieszkały w Warszawie, [REDAKTOWANE] /Bielany/. Aresztowano mnie 29 września 1942r. Do 17 stycznia 1943r. siedziałem na Pawlaku w Warszawie. 17 stycznia przewieziony zostałem na Majdanek. Podróż z Warszawy koszmarna. Dzień i noc w wagonach bydłych przy 25<sup>o</sup> mrozie. Mówiono nam, że jedziemy na roboty. Po przybyciu do Lublina w nocy wypędzono nas z wagonów. Były trupy zamazniętych na śmierć. Otoczono nas silnym konwojem, w którym ważną rolę grały wyszkolone psy. Nieśliśmy trupy i chorych na plecach. Pędzono nas przez pola, doły i rowy z biciem i krzykiem. Transport nasz składał się z 4.500 ludzi. W tym 1.500 kobiet i mniej więcej taka sama liczba ludzi zkapanych w kinach, restauracjach, kawiarniach i na ulicy. Wpędzono nas na trzecie pole - kobiety na piąte. Przy wejściu kapo z pejcem kazał nam się zachować spokojnie, mówiąc, że sprawy nasze zostaną rozpatrzone i że będziemy zwolnieni. Rano wpadli kapowie do baraków, w których byliśmy umieszczeni po 600 ludzi w jednym. Spaliśmy na gołej ziemi, na pokrytych szronem i lodem deskach. Spędzili nas na apel, bijąc kijami i pędząc jak bydło. Kazono nam zabrać ze sobą pierwszego trupa, który zmarł w nocy, niejakiego Gajewskiego Stanisława z Warszawy i ułożyć go w rzędzie, by mógł być wliczony do stanu liczebnego bloku. Pierwszy raz oczy nasze ujrzały obóz i to co się w nim działo, obóz, o którym słyszeliśmy z cichych opowiadań i czytaliśmy w tajnych gazetach. Na polu była kwarantanna. Barak 19 i 17 był pełen chorych na tyfus, a których regularnie wybierany był kontyngent do komór gazowych, - Ci, którzy kiedyś nie wierzyli w te potworności, naocznie przekonać się mogli o strasznej rzeczywistości. Na środku pola stała wielka latryna na 20.000 ludzi, pod którą na śniegu, w trzaskającym mrozie leżały dziesiątki zmarłych i chorych, którzy się wili w najstraszniejszych mękach. Z bloku 17 i 19-go wynosili więźniowie swych, żywych jeszcze chorych towarzyszy, których z rozkazu kapów, rozbierano do naga w celu przyspieszenia ich śmierci i żeby ciała były gotowe do załadowania na wozy, odwożące trupy do krematorium. Stojąc na apelu bezczyn-



nie, marznąąc przeraźliwie/niektórzy byli w letnich ubraniach/widzieliśmy jak wynędzniali więźniowie podjeżdżali olbrzymimi wozami, na które dwaj silniejsi wrzucali kolejno żywych i martwych. Działy się rzeczy straszne. Niektórzy chwyтали się brzegów wozu lub wysadzali głowy z pod trupów, błagając o litość lub krzycząc niezrozumiałe zdania w różnych językach. Spychano ich, zasypując nowymi zwalami ciał, żywych lub umarłych. Powoli wozy odjeżdżały, ciągnięte przez szkielety bitych przez kapowców więźniów. Staliśmy zmartwiali. To była rzeczywistość - chociaż zdawało się nam, że to tylko potworny koszmar, który minie. Z daleka słychać było gwizd odjeżdżających pociągów. Tu i ówdzie z szeregów rozlegał się płacz naszych nieletnich kolegów. Najbardziej płakał Stasio Nadert, aresztowany za śpiewanie piosenek w pociągach. To był pierwszy nasz apel i pierwsze wrażenie z obozu: dzień grozy. Wieczorem, po drugim apelu, na którym było już kilku pobitych i skopanych, nasze nadzieje na życie zaczęły powstawać na nowo: dano nam po łyku kawy i po pajdce chleba. A po tym Żydzi słowaccy wnieśli koce, uśmiechając się złośliwie. Koce zostały rozdane, lecz każdy koc roił się setkami wszy. W ciemności nie widzieliśmy tego. Poczuliśmy je na sobie, kiedy ułożyliśmy się na ziemi. Koce były po zmarłych na tyfus więźniach. Jedni zaczęli odrzucać je z powrotem. Cieniej ubrani, drżąc z zimna, bo śnieg z wiatrem przeciskał się przez szpary, chwyтали je natychmiast, ażeby ochronić się przed zimnem. W pewnej chwili do baraku weszli dwaj starzy więźniowie, żeby zabrać kotły po kawie. Pytamy ich o warunki życia. - "Tu jest śmierć, tu jest wasz koniec" - odpowiadają. "Widzieliście rano. To wasz los i wszystko co wam zostało z życia". Podbiega do nich jeden z więźniów i krzyczy: "Zamknij pysk! To byli Żydzi! Z nami tego nie zrobisz". - "Idziemy", odpowiada jeden ze starych więźniów. "Jutro przekonacie się kogo będą ładować". Wyszli. Reszta uciszyła się nagle, jakgdyby przerażona swym losem i tym co ich czeka. Rano potwierdził te złowroźne krakania. Wśród rozebranych do naga chorych, wijących się na śniegu, było wielu Polaków i innych narodowości. Przydzielone koce, które wydawały się błogosławieństwem, zaczęły działać. Po tygodniu, - na każdym kroku chorzy na tyfus i na zapalenie płuc. Był głód, lecz było jeszcze "dobrze" bo mieliśmy na sobie ubrania własne i, często ciepłą bieliznę, lecz i temu przyszedł kres. Po dwóch tygodniach pobytu w obozie, po rannym apelu, bloki pomaszerowały do łaźni. Widzieliśmy, jak z baraków, które opuściliśmy, wynoszono nasze więzienne tobołki, zawierające bieliznę i to co rodziny dały nam na drogę. Grupami po 50 osób wpędzono do baraku "Effekten-Kammer", gdzie rozebrani do naga zdawaliśmy kolejno swe ubrania. Było tak zimno, że na wąsach i brodzie więźniów osiadła gruba



warstwa szronu. Przez zasypy śnieżne biegliśmy nago do kaźni. Tu trzeba było czekać pod drzwiami kilka minut, gdyż pierwsza grupa nie była jeszcze wykąpana. Byliśmy jeszcze silni. Po kąpieli w biegu łapaliśmy dawane nam pasiaki, wyskakiwaliśmy na dwór i tam naciągaliśmy zawieszane cienkie koszule i porwane strzepy obozowych ubrań. Dzień, w którym kąpałem się był bardzo zimny. Na mokrych włosach tworzyły się skorupy lodu, które staraliśmy się rozetrzeć zgrabiakami. Z kąpieli, w lichych ubraniach, stanęliśmy do apelu, który trwał trzy i pół godziny. Wtedy to, stojąc/gdyż nawet uklęknąć nie było wolno/, zmarł kolega nasz 67-letni starzec, Durin-Wasowicz. I tak dzień za dniem życie toczyło się dalej. Błacie, tyfus, zimno i wyczerpanie kładły na każdym apelu długie szeregi trupów. Dla chorych starali się koledzy o kawałki desek, by, kiedy już stać nie mogli i nie można go było utrzymać, nie siedział on na zmarzniętej ziemi lub w błocie. Pijani SS-manni urządzali nam często wielkie kłopoty. Przyskakiwali do nas, stojących w zwartych kolumnach w błocie, bijąc i rozpędzając nas na wszystkie strony. Zostawaliśmy wtedy wszyscy bez butów/drewniaków, które zostawały w lepkim błocie. Po uspokojeniu się SS-amnów, wracaliśmy by odnaleźć je, grzebiąc się w błocie. Słabsi często nie mogli znaleźć zguby i pozostawali boso. Radowało ich to, że było dużo konających. Po kąpieli, o której wyżej wspominałem, przeniesiono nas, wybrawszy przed tym kilkudziesięciu rzemieślników potrzebnych do normalnego funkcjonowania obozu, na pole czwarte, pole, które nazywaliśmy między sobą, "polem śmierci". Tam tyfus opanował wszystkie baraki. Dziennie było na polu 200 trupów i 200 do 300 zachorowań. Chorych wciągano do baraków Nr. 7 i 9, zwanych przez nas "Gamel-Bloki". Tam raz na tydzień wszystkich, którzy nie zmarli, przewożono do Gaskammer. Pewnego dnia silny ból głowy i drętwienie w nogach nie pozwoliły mi stać do końca apelu. Przykleknąłem w szeregu. Chociaż zostałem kopnięty przez kapowca, nie miałem siły podnieść się, ani dowieść do formującego się na robotę kommando. Kommando wyszły. Pozostałych na placu chorych w liczbie około 150 zaczęto pędzić i ściągać za nogi po błocie do "Gamel-Bloku". Wśród tych ostatnich zauważyłem znajomych mi: Marszałka Józefa-Dyr. Banku Rolnego w Warszawie, Łęckiego-młodego kompozytora, również z Warszawy, Iłowickiego - Prezesa Warszawskiego R.G.O., Krzyżanowskiego Zygmunta z Żoliborza, Łęgowskiego/amoże Łagowskiego czy Łagowskiego/Kazimierza, adwokata ze Starego Miasta i wielu innych, których nazwisk nie znam lub nie pamiętam./Wszyscy, których wyżej wymieniłem, zmarli/. Wewnątrz bloku który miał dach dziurawy, pełno było błota, śniegu i kału. Wśród tego, na gołej ziemi widać się dziesiątki żyjących jeszcze więźniów. Pod ścianą

Objaśnienie: gamel = murawian = wypieczony  
Alana Perlewa



w porządku apelowym plon zeszłej nocy: cztery rzędy trupów. Po pewnym czasie zaczęto je ładować na wozy. Bezsilny pełzam wśród chorych, szukając czystszej miejsca, na którym mam umrzeć jak zwierzę. Język mam suchy jak wiór. Lecz na polu czwartym wody niema nawet dla tych, co pracują. Najdelikatniej zgarnięty śnieg jest pomieszany z kałem, którego tu wszędzie pełno. Nawet w tej ostatniej godzinie życia jest ciężkie. Przytulałam się do trzeciego już więźnia z kolei, lecz każdy z nich po chwili stygnie. Jest mi zimno, chociaż śnieg, który pada na mnie, momentalnie topnieje. Nie rozumiem, za co jestem tak ciężko skarany, dlaczego umrzeć nie mogę, kiedy innym przychodzi to tak łatwo. Jest środa. Czyż mam zostać rekordzistą i doczekać soboty, by być uduszony gazem. Tego nie chcę. To za długo. Może wcześniej umrę, usnę na zawsze. Całą duszą pragnę śmierci, snu, ciszy. Wszystko, co pozostało na świecie, jest nie realne - o tym nie myślę. Myślę i pragnę śmierci, a śmierć nie przychodzi. W nocy, wśród jęków, poomacku, znowu szukam żyjących, by ogrzać przy nich drżące febrycznie ciało. Modlitwy, nauczone przez matkę, nie chcą wyjść przez usta. Nie to co ja cierpię, lecz krzyki rozpaczliwe kłanających, są nie do zniesienia. To "Gamel-blok"-koszmar. Czwartek rano. Wciągają nowych. Witam znajomych milczeniem. I oni milczą. Tu już nikt nie mówi, nie rozmawia. Tu tylko półobłąkane myśli szturmują mózg. Myślą rozmawia się z nieobecnymi. Jeden szeptem żegna kogoś nieobecnego. Drugi przeklina tych, co go sprzedali. Ciągłe leżę i czekam i przychodzi mi myśl, że fantazja Dantego była niczym w porównaniu z rzeczywistością. Nie miał podstaw do stworzenia piekła. Brakło mu Majdanka i innych obozów. Nie. Tak dłużej być nie może. I do mnie musi przyjść "szczęście" i ja muszę doczekać wymarzonego raju, ciszy i spokoju, gdzie niema kątów i tych okropności, szpecących, zohydżających świat. Nawet na matkę moją cisną się do ust klątwy, chociaż była mi świętą. Jest gorzej - bo czuję się lepiej - jestem zdrowszy - dłużej przeciągnie się męka - do soboty. Czemu odczuwam to wszystko tak wyraźnie, czemu nie jestem bezmyślnym bydlęciem, które tępo wyczekuje swego przeznaczenia. Zbieram resztki siły. Szukam wśród trupów rzeczy, która może mi się przydać. Jest to długi pasek, który wiąże ze swoim razem. Chwiejąc się i padając kilkakrotnie z całą świadomością tego, co czynię, stoję na latrynowej skrzyni. Spokojnie, dokładnie i bez wzruszenia szykuję sobie pętlę, która uwolni mnie od życia, od wrzucenia na samochód żywcem, od komory gazowej. Z myślą o matce zeskakuję w dół. Lecz zły los chce inaczej. Jeden pasek słabszy pęka. Idę szukać nowego, chociaż jestem śmiertelnie znużony. Wszystkie obszukiwane trupy wyglądają tak, jakby i na tamtym świecie było źle. Zaczyna mnie ogarniać wzruszenie. Zaczyna mnie opanowywać myśl o życiu, instynkt samozachowawczy. Nie, to wszystko skąbość. Znajduję kawałek grubego kabla. Łączę go z paskiem i teraz już naprawdę



uciekam od życia. Jakieś gwiazdy w oczach, ognie i wielki szum w uszach niby szum morza. To wszystko co pamiętam. Otwieram oczy. I znów jestem w "Gamel-bloku". Na de mną stoi Fryderberg Stefan z Warszawy, kolega mój z Pawiaka. Pyta: "Czyś ty zgłupiał? Czemu jesteś taki słaby? Czemu się załamujesz? Już pół godziny staram się wrócić cię z tamtego świata." Patrzę dziko i mam wielki żal do niego. "Stefan, pociąg to zrobił? Ja mam tyfus. Byłbym już teraz spokojny, a ty pchasz mnie do gazkammery." "Ty masz tyfus? Nie wiedziałem. Myślałem żeś zwarjował. To szkoda. Wieszaj się jeszcze raz. Już cię nie ruszę. Chociaż i komora gazowa nie taka straszna. Straszna tylko dla tchórzów. Czy prędzej czy później pójdziemy tam wszyscy. Trzymaj się jeszcze te parę godzin, dopóki cię nie zabiorą. Chcesz pić? Śniegu czystego niema nigdzie. Może ci jutro podam kawy. Ale wiesz co - czy ty naprawdę zupełnie nie możesz chodzić? Norton Jerzy z tyfusem chodzi do pracy. Spróbuj. Ja cię z tam wyciągnę. Jeżeli nie będziesz mógł iść - wrócisz tu znowu. Jutro jest piątek. W sobotę będzie z tobą koniec. Dla ciebie zrobię wszystko. Weźmiesz kibel i pójdiesz jako mój pomagier. Dam parę fajek. Wypuści cię. Na polu pełno chorych. Sami tu przyjdą, bo nie mają sił do pracy. Nie zauważę żeś ubył. Tylko się nie kładź na apelu. Niech cię podtrzymują. Jeżeli będzie apel niedługo - twoje szczęście. Jutro może ci już być lepiej." Nazajutrz rano był dziwny dzień. Komanda zawrócono od bramy. Rozeszła się wieść, że odejdzie transport. Gdziekolwiek jechać, gdziekolwiek, byleby wyjść z tego miejsca. Nikt nie wiedział, że jeżeli wyjdzie, to do takiego samego piekła, jak to które opuścił. Lecz nadzieja zaczęła błądzić po rozpalonych tyfusową gorączką głowach. Plotka puszczona przez Esmannów obiega pole: "transport jedzie na wolne roboty". To dlatego, żeby więźniowie nie uciekali. Zaczęła się ohydna komedia poszukiwania fachowców. Najpierw wywołano szwajcarów - do krów. Do tego zawodu przyznało się niemal całe pole. W nadziei, że skosztują chociaż kroplę - może kiedy wzgardzonego mleka. Widzę staruszkę, nazwiskiem Konecki, z Warszawy, byłego długoletniego dyrektora Instytutu Meteorologicznego w Yokohamie w Japonii, którego dotkliwie bije esmann wypędzając go z grupy szwajcarów. Za stary. Kolejno się tworzą grupy różnych zawodów, do których zgłaszają się więźniowie, łudząc się nadzieją ratunku. Wywołali zdunów. Chwiejąc się, wychodzę naprzód. Fryderberg i Kowalski Józef - Lager Altester, polecają mnie jako dobrego rzemieślnika. Jeden z Esmannów, przezwiskiem "Jastrząb" węsząc we mnie trupa, krzyczy: "du bist krank! Zum Gamel-Blokk!" Drugi każe mi przebiec kawałek. Biegnę płacząc się, ostatnim wysiłkiem. Za mną skoczył "Jastrząb". W tej chwili zauważył on więźnia, który nie ma naszego numeru. Zaczyna go katować. Korzystam z tego i staję w grupie



przeznaczonej do transportu. Opuszczamy czwarte pole, pole śmierci. Idziemy bici i popychani w stronę łaźni. Zanurzam się w wannie napełnionej roztworem "Kuprex'u". Spragniony piję wstrętną wodę. Kapo zauważyła to i kopie mnie dwa razy w brzuch, co przyczynia się do zwrócenia przez mnie całej zawartości żołądka. Otwartymi ustami chwytam padające z pryszniców krople wody. Czyni to wielu więźniów. Napewno nawet na Sacharze niema takiego pragnienia, jak tu w obozie. /Transport poszedł na zniszczenie do Flossenburga. Żaden z fachowców nie był użyty do obiecannej pracy. Połowa zmarła w wagonach, w ciągu długiej, dwutygodniowej podróży - z gorączki tyfusowej. Resztę zniszczono w Flossenburgu kąpiąc i długo trzymając na apelach. Z 2.200 spotkaliśmy w 1944r. w Gross-Rosen nieliczne tylko jednostki. /Z łaźni zaprowadzono nas na trzecie pole, skąd miał odejść wyżej wymieniony transport. Chorych, którzy się przewracali, między innymi i mnie, wpędzono do pustego baraku Nr. 6. Rozebrało nas z ubrań, które były potrzebne do skompletowania ubrań transportu. Znow jestem w baraku między konającymi. Lecz instynkt życia panuje w tej chwili we mnie, mimo, że 42<sup>o</sup>-wa gorączka spala mnie. Był to koniec marca 1943r. Trzecie pole było polem komand budujących Wachbatalion. Wiedziałem, że dla podniesienia wydajności pracy, nie zabierano chorych do gazkammer. Umierali oni w rewir-baraku. Zacząłem walczyć o życie. Nie do pomyślenia było powtórzenie tego, co chciałem uczynić ze sobą dwa dni temu. Dziwna jest psychika człowieka. Na współtowarzyszy patrzę złym okiem - może który skona. Będę mógł zabrać mu koszulę, by okryć się, bo zimno jest niewypowiedziane. Ale wszyscy żyją. Kiedy chciałem zdjąć koszulę jednego z więźniów, który skonał, ten nagle chwycił mnie za gardło chcąc udusić. Zacząłem z nim walczyć. Skonał niedługo. Koszulę zdjąłem. Było mi trochę cieplej. Koło północy miałem już kilka koszul i jakoś doczekałem do rana. Rano na apelu zjawił się kolega partyjny Zaborowski Stefan, dał mi koc i pobiegł, żeby przynieść mi kawy. Całowałem go po rękach. /Pracował on w kuchni. /Później prosił on Funkcyjnych Rosjan, żeby nie wlekli mnie na rewir, ale zabrali. Po trzech dniach pobytu na trzecim polu wszystkich chorych na tyfus /280 ludzi/ przesłano na pierwsze pole. Szliśmy boso, w koszulach, brnąc w śniegu. Droga usłana była dogorywającymi. Chorzy ciągnęli jeden drugiego. Tym, którzy upadli na śnieg, zabierano koce. Na pierwszym polu przed ambulansem stanęliśmy w szeregach, czekając aż Leichentragerzy poznoszą martwych i żywych, pozostałych na drodze, by zgadzała się liczba, którą trzecie pole przekazywało pierwszemu polu. Trwało to wszystko około czterech godzin. Z 280 ludzi po kilku dniach zostało 70-ciu. Na pierwszym polu w bloku ósmym zetknąłem się z Pauliem Hoffmannem oraz naczelnikiem wydziału straceń Musfeldem. Przychodzili oni razem z Thumanem, żeby przeprowadzić selekcję, która odbywała się co



tydzień. Ci, którzy mogli, stawali w szeregach sami. Innych, żywych i umarkowanych, ściągano na apel. Thuman chodził z psem swoim, wilkiem. Psa tego nazywaliśmy "Naczelnym Lekarzem", gdyż często on właśnie decydował o życiu lub śmierci człowieka. Kiedy pies zawarczał bez powodu na jakiegoś więźnia, - człowiek taki zostawał natychmiast skazany na śmierć przez Thumana. Thuman, chodząc w milczeniu przed szeregami, wskazywał pejem więźniów; czasami pięciu z kolei, czasami wybierał z różnych części szeregów. Niewiadomo było, jak stać, by się od tego uchronić. Wskazani pejem szli do gazkamer. W czasie jednej selekcji około 15 maja 1943r. wybrał z szeregu i zbił pejem więźnia nazwiskiem Hering, działacza politycznego z Warszawy, kalekę, który chodził zgięty pod kątem 75°, za to, że spojrzał na niego "mściwie". Hering został zagazowany. Tu, na rewirze, zetknąłem się z cywilnym robotnikiem z Warszawy, Betlewskim Wiktorem / zginął w Oranienburgu /, przez którego skontaktowałem się z rodziną i otrzymałem pomoc. Oficjalnie pisać nie mieliśmy prawa do sierpnia 1943r. / Dzięki jego pomocy, z 27 kg. po tyfusie doszedłem do 55. Jeszcze słabego wcielono mnie do komanda Leichen-tragerów, którego zadaniem było odnoszenie trupów do starego krematorium. Przy dużych ilościach transportów zagazowanych pomagaliśmy także przy rozładunku gazkamer. Pracowałem przy tym 6 tygodni. Tu miałem możliwość zetknąć się bezpośrednio z największymi faktami okrucieństwa esmanów. W końcu maja, niosąc trupa do starego krematorium, widziałem jak przed nami z Pola Róż na tragach do noszenia trawy dwóch więźniów pod eskortą esmana nazwiskiem Grohmann niosła płaczącą, całą we krwi, kobietę. Kobieta ta, niezwyklej urody, porodziła przed godziną dziecko, które trzymała na ręku. Dziecko nie było obmyte, całe oblepione krwią. Kobieta przyciskała je do siebie, szlochając. Było rano i przed krematorium było jeszcze cicho. Postawiono ją z tragami w pobliżu okien. Ranek był piękny. Wszystko pokryte było srebrzystymi odblaskami rosy. Słońce padało na twarz kobiety i ozłacało ją. Robiła ona wrażenie Matki Boskiej. Mimo bólu miała jakiś dziwny uśmiech macierzyństwa, bodaj że szczęścia. Nie wiedziała co ją czeka. Przyjechała z "zuzangiem", nie przeszła jeszcze przez obóz. Poród zastał ją na Polu Róż, gdzie transport nocował. Biegiem prawie przelecieliśmy z trupem koło niej. Spojrzała w naszą stronę, może spodziewając się lekarza. Gdy weszliśmy do środka, Grohmann wyszedł z kapo Hoffmannem, który wyrwał dziecko kobiecie i wrzucił przez okno do krematorium. Rozpaczliwy krzyk kobiety zagłuszył uderzeniem pałki. A dzień w dalszym ciągu był piękny. 17 marca 1944r. widziałem jak z pierwszego pola esmanka, przezwiskiem, prowadziła dwie kobiety. Młodsza z nich, była żoną mieszkańca Lublina, siedzącego na trzecim polu. Kobiety szły spokojnie obok wszystkich pól. Przed piątym polem, myśląc, że idą do



pracy, chciały wejść w bramę. Esmanka kazała iść dalej. Gdy minęła bramę, starsza z prowadzonych kobiet, domyślając się może, że idą do krematorium, zaczęła płakać. Młodsza zaś, dostała ataku szału. Niespodziewanie rzuciła się na esmankę, chwytając za rewolwer. Zaczęła się szarpać. W pewnej chwili udało się esmance przerzucić rewolwer za druty, a widząc wściekłość kobiety, zaczęła uciekać. Nadjeżdżający konno Thumann, który obserwował całe zajście z daleka, poszedł psa na młodszą z kobiet, która również w pewnej chwili rzuciła się do ucieczki. Ucieczka była niemożliwą, ze wszystkich stron druty. Pies dopadł ofiary w jednej chwili i powalił ją na ziemię. Wyskoczyli z Blockhausu esmani i jednocześnie odezwała się syrena alarmowa. Schwymano kobietę i zanieślono ją do budki strażniczej, gdzie bito ją pejsami, aż do czasu, gdy nadjechał samochód z czerwonym krzyżem, do którego wsadzono gwałtem obie kobiety i drogą okrężną naokoło obozu zawieziono je do krematorium. Tu wyszedł Hoffmann i opierając się młodszą z kobiet wciągnął do hali z piecami. Druga weszła sama. Obu kazał rozebrać się i złożyć ubrania. Starsza, popłakując, wykonała rozkaz. Uderzona pałką w tył głowy, prawdopodobnie w stanie omdlenia, wrzucona została do pieca. Młodsza nie chciała się rozebrać. Zaczęto szarpać ją i bić przewracając na ziemię. Z rozkazu Thumanna zwrócił się do niej Hoffmann, oświadczając, że jeżeli dobrowolnie nie rozebrze się i nie zda ubrania - zostanie spalona żywcem. I tym razem odmówiła, płacząc histerycznie, prosząc i grożąc zemstą wojsk Sowieckich. Na dany przez Thumanna znak, Hoffmann krzyknął: "Raus". Podbiegło czterech palaczy, schwycili kobietę i wrzucili żywcem do pozpalonego pieca wśród przeraźliwych krzyków ofiary. 25 lipca 1943r. z rozkazu komendanta obozu Thumanna, postanowiono, by dzieci pochodzące ze spacyfikowanych terenów Hrubieszowskiego i Zamojszczyzny zagazować, a matki wysłać do pracy w Niemczech. Poprzednio rozpuszczono fałszywe pogłoski, że dzieci zostaną oddane pod opiekę Czerwonego Krzyża, do żłobków i ogródków Jordanowskich. Lecz prawda wyszła na jaw. Gdy podjechały samochody, by zabrać dzieci, matki, przeczuwając co je czeka, nie pozwalały na zabranie dzieci. Esmani i esmanki uspakajali i namawiali do oddania, posługując się pośrednictwem dolmetscherów. Gdy namowy zawiodły, zaczęto siłą zabierać, wrzucać i wsadzać dzieci do samochodu. Na polu powstał płacz i lament. Oszałamiane z rozpacz matki uciekały z dziećmi. Esmani i kapowcy wyłapywali je. Widziałem Hoffmanna w mundurze SS jak szarpał się z jedną wieśniaczką, która mocno trzymała niemowlę, nie chcąc go oddać. Była to młoda i dobrze zbudowana kobieta. Widziałem, jak w pewnej chwili Hoffmann wyrwał dziecko i zakrwawione, martwe już zapewne ciało wrzucił do samochodu. Patrzyłem z pewnej odległości i zdawało mi



się, że główa dziecka została w rękach matki. Może myślę się, mog-  
łem ulec halucynacji. Wiem, że Hoffmann stawał w drzwiach kremato-  
rium i przechodzące dzieci zwabiał do siebie cukierkami i lalkami.  
Tam je zabijał i spalał. Jeszcze jeden charakterystyczny wypadek  
utkwiał mi w pamięci. Było to w sierpniu 43r. Siedziałem wtedy na  
czwartym polu w bloku 6. Przywieziono z okolic Stanisławowa tran-  
sport, w którym, między innymi byli dwaj badacze pisma świętego,  
czy też baptyści. Przydzieleni zostali na blok 6. Blokowym był  
Leon Weiman. Na apelu wieczornym wszyscy musieli się stawić z nu-  
merami i "winklami" oznaczającymi charakter ich przestępstwa. Bada-  
cze nie wykonali polecenia, za co otrzymali od blokowego przepiso-  
we 25 uderzeń, z uwagą, że na rano winkły i numery muszą być naszy-  
te. Mimo otrzymanych batów i bólu, obaj odmówili wykonania rozkazu.  
Blokowy zagroził im zameldowaniem do Lager-Altester, Lipińskiego,  
co po ich zdecydowanym uporze uczynił. O 10-tej wieczorem przyszedł  
na blok Lipiński/Niemiec/ ze swoim przybocznym oprawcą, Wojtkiem  
Sznajderowiczem. Blok był według przepisu na pryzkach. Paliła się  
tylko jedna oskonięta lampa, pod którą na stołku zasiadł Lipiński.  
Kazał przyprowadzić do siebie oskarżonych, których zapytał czemu  
są takimi warchołami i nie chcą wykonać polecenia, obowiązującego  
cały obóz. - "Bóg nam tego zabrania" - odpowiedzieli obaj. "To co ka-  
żecie nam przyszyć, to znamie diabła, który znaczy w ten sposób lu-  
dzi mających iść do piekła". Lipiński zerwał się z miejsca, złapał  
stołek i zawołał: - "Kto, Bóg. Ty mówisz o Bogu. Tysiące i miliony  
zniszczonych, cierpienia wszędzie - to ma być dziełem Boga. Ochydna  
 prostytutka miałaby więcej litości niż Bóg, o którym mówisz. To  
 przyszedłeś oszukiwać nas swoim Bogiem, w którego imieniu prowadzon  
na jest wojna i zakładane takie obozy. Tu mówisz o Bogu, gdzie wszys  
cy wiemy, że Go nie ma. Oskłaniając się nim - występujecie przeciwko po-  
rządkowi. I czy ty sam wierzysz w Niego?" Tak, panie, wierzymy w Nie-  
go i spełniamy Jego przykazania". - "I co myślisz, że ten Bóg cię  
obroni? Więc co, przyznajcie się, że to jest wasza spekulacja, że  
chcecie się zasłonić przed przepisami, Przyszyjcie winkły, czy nie?"  
Na odpowiedź przeczącą Lipiński rzucił w badaczy stołkiem, a Wojtek  
począł ich bić pałką. Kiedy leżeli na podłodze skrwawieni, zażądano  
od nich jeszcze raz wyparcia się Boga. Jeden z nich wyparł się Go.  
Drugi błagał o litość, ale ciągle twierdził, że Bóg istnieje. Zako-  
wano go na śmierć. Drugi również zmarł z pobicia po paru dniach. W  
pewnej chwili Sznajderowicz zwrócił się do wszystkich więźniów,  
będących na bloku, mówiąc: "Wyrzeknijcie się waszego z..... Boga.  
Lager-Altester jest dobrym ojcem, wszystko wam przebaczy". Trudno  
mi w tej chwili odtworzyć całą potworność tego "sądu". Kiedyś podam



40  
(43)

jeszcze dokładne szczegóły. Na Majdanku siedziałem do 6.IV.44r. Następnie wywieziony do Gross-Rosen, a następnie do Leitmeritz, komando b-5. Flossenbürg. Uciekłem w czasie ewakuacji na Zachód.-

Identyczne zeznanie złożyłem w dniu 14 listopada 1945r. przed Stanisławem Brodziakiem, Kierownikiem Wydziału Muzeum Informacji i Propagandy Państwowego Muzeum na Majdanku.

Odczytano:-

Podpis przesłuchanego/-/Kazimierz Wdźlęczny Nr. 3271.  
Przesłuchujący Sędzia Grodzki /-/Hoffman.

pieczęć okrągła.

Za zgodność odpisu świadczy  
Prokurator Sądu Apelacyjnego w Lublinie

/-/podpis nieczytelny.

za zgodność:

KIEROWNIK KANCELarii  
J. Skonieczna  
Mgr. Irena Skonieczna

Główna Komisja  
Badania Zbrodni Niemieckich  
w Polsce  
Warszawa, Al. Jerozolimskie 49 m. 9  
tel. 87064

AM